

To była wspaniała wycieczka! W tenisówkach i džinsach, z plecakami na ramionach dotarliśmy aż do Laplandii. Parę dni spędziliśmy w przystani turystycznej w Abisko, blisko Bieguna — daleko od cywilizacji. Stąd już pieszo wędrowaliśmy dalej, po lasach, łąkach i stepach, a potem, przepięknym fiordem dotarliśmy aż do malowniczego miasta Narvik.

Po powrocie do domu napisałam, choć nie jest to moim zwyczajem, długi list do mojej jedynej kuzynki — filigranowej, ślicznej Jeanette.

Jeanette jako dziecko nazywała się Dziunia. Miała pięć lat, kiedy w 1942 przeszmuglowano ją samą, z obcymi ludźmi, z Polski do Słowacji, stamtąd dojechała jakoś do mandatorskiej (Mandat Brytyjski) Palestyny. Tu posłano ją do internatu dla sierot i zapytano o imię.

„Nazywałam się Dziunia” — odpowiedziało dziecko — „a teraz nie wiem, jak się nazywam”.

Jej nowi opiekunowie spojrzeli po sobie. Jeden z nich powiedział, że Dziunia to Szajndel, drugi powiedział, że Szajndel to Jafa. A trzeci powiedział do niej:

„Tu będziesz nazywała się Jafa”.

Mała Jafa’le miała wielkie, smutne oczy, ale wyrosła na piękną i mądrą dziewczynę, Ukończyła studia na uniwersytecie, wyszła za mąż za lekarza, wyjechała z nim do Ameryki. Tam nazywa się Jeanette. Ma czworo dzieci, jest urocza, włada paroma językami i pracuje na posadzie państwowej, jako radca do spraw imigracji. Pierwsze lata swojego życia wymazała kompletnie ze świadomości, nigdy o nich nie mówi, nigdy się nimi nie legitymuje.

Dlatego właśnie napisałam jej o tej niezwykłej wycieczce na Północ. Temat zupełnie neutralny. Tematów „żydowskich” Jeanette nie lubi.

My, Izraelczycy, mamy kompleksy ludzi, którzy długi czas pozbawieni byli wolności, a i teraz są jakby zamknięci. Na pewno dlatego tak bardzo lubimy podróżować. Lubimy wsiąść do samolotu (pociągiem nie możemy wyjechać z naszego kraju), i wyfrunąć z naszego naładowanego dynamitem rejonu, w szeroki, wolny świat. Lubimy odetchnąć innym powietrzem i odczuć wielkie przestrzenie. Na krótki czas zapomnieć o morzu nienawiści, które nas otacza. Być na równi z innymi, jednymi z wielu.

Dlatego tak bardzo cieszyła nas ta wycieczka. Piękna, bogata, dobrze zorganizowana i zaopatrzona we wszystko Szwecja, taka na swój sposób naiwna, nie rozumiejąca nic z naszych skomplikowanych stosunków z sąsiadami, nie rozumiejąca za wiele, co się naprawdę na świecie dzieje. Dobry kraj, a komu tam nudno, nie wie wcale, jak nam trochę takich nudów brak.

Wędrowaliśmy więc po pięknej Skandynawii, oceniając każdą chwilę naszego tutaj pobytu. Sypialiśmy w pociągach, w luksusowych sypialnych wagonach lub w młodzieżowych hotelach. Spotykaliśmy wszędzie młodych chłopców i młode dziewczęta, z wielkimi kolorowymi plecakami, ze śpiworami. Rozczochrane włosy, roześmiane twarze, na łańcuszkach czasami serduszko, czasami krzyżyk, czasami Gwiazda Dawida, a czasami i to, i to, i to. Pochodzenie i wyznanie, to błahe, nikogo nie obchodzące tu sprawy. Wszyscy po przyjacielsku odnoszą się tutaj do wszystkich, nikogo nic nie obchodzi.

Ze Sztokholmu poleciliśmy do Kiruny. To największe miasto w Europie (pod względem obszaru), wybudowane nad i pod ziemią. Całkiem inne niż znane nam miasta, niemniej jednak ciekawe.

Z Kiruny jechaliśmy już dalej pociągiem. Pociąg mknął poprzez piękne krajobrazy, ogromne obszary zielonej, sytej i nie spragnionej ziemi, nie osiedlonej, nieważnej dla nikogo, nie potrzebnej nikomu, nie będącej obiektem żadnego sporu.

Jechaliśmy dalej, w krainę dziewiczych cudów, w krainę nie skalaną cywilizacją. Ku Laplandii.

Za oknami naszego pociągu przegalopował inny pociąg w odwrotnym kierunku. Pociągi to jedyny środek lokomocji tutaj. Tylko one mogą cię przenieść z miejsca na miejsce, one — i twoje własne nogi!

Po dwóch godzinach jazdy, pociąg zwolnił bieg i zatrzymał się. Konduktor krzyknął:

„ABISKO!”

Wymieniliśmy zdziwione spojrzenia. To tutaj? Tu przecież nie ma nic. Ni szos, ni domów... Nasi szwedzcy przyjaciele dawali nam do zrozumienia, że to właśnie tu:

„Pospieszcie się, pociąg zaraz ruszy” — poganiali nas.

Zeszliśmy z wagonu.

„Jak tu pięknie i cicho!”.

Pociąg odjechał, a my zostaliśmy wśród błogiej ciszy w tym pięknym zakątku świata. I tu od razu zobaczyliśmy Ich. Niektórzy zeszli przed chwilą z wagonów, jak my, inni byli już tutaj przed nami, i teraz szli nam naprzeciw: młodzi chłopcy i młode dziewczyny, rozczochrani, roześmiani, mówiący wieloma językami, bo z całego prawie świata, a i bez języków rozumiejący się doskonale.

Wmieszaliśmy się pomiędzy nich, byliśmy jak oni.

Hotel w Abisko jest czysty i wygodny i nic poza tym. Żadnego luksusu. W biurze wzięto od nas pieniądze i skierowano nas do pokoi.

„Nazajutrz” — powiedziano nam — „wyjdzie pierwsza wycieczka pieszo”.

Wieczorem zaproszono nas na spotkanie z Raulem. Raul, wysoki wysportowany blondyn, dawał instrukcje co do jutrzejszej wycieczki.

„Konieczne są gumowe kalosze” — tłumaczył Raul.

Nie rozumieliśmy o co chodzi, nie byliśmy zresztą odosobnieni. Ktoś poprosił, by Raul mówił po angielsku.

„O.K.” — powiedział Raul i powtórzył wszystko po angielsku. — „Ziemia przesiąknięta jest wodą i nogi grzęzną. Dlatego konieczne są gumowe kalosze”.

Staliśmy przed nim zdziwieni.

„U nas jest sucho...” zaczęłam, ale Raul zajęty swoją pracą nie zwrócił na mnie uwagi i mówił dalej:

„Gumowe kalosze można wypożyczyć tu, na dole. Są do wyboru, w różnych kolorach i rozmiarach”.

Załatwiliśmy kalosze i zmęczeni poszliśmy spać.

Nazajutrz, o wschodzie słońca, zebrała się wokół Raula gromadka licząca może dwadzieścia osób. Wszyscy w dżinsach i trykotowych koszulkach, na nogach gumowe kalosze. W napięciu czekałam, aż Raul zażąda nakrycia głowy, zaopatrzenia się w wodę do picia. Ale nic takiego nie nastąpiło. Przypomniałam sobie, że tu słońce nie tak strasznie parzy, a powietrze nie tak bardzo suszy.

Ruszyliśmy w drogę wijącą się między rzekami i jeziorami. Piliśmy wodę prosto z wodospadów i skakaliśmy z kamienia na kamień po strumykach, nad którymi nie ma mostów,

„Jak pięknie i jak przyjemnie!” — co parę chwil wymykały mi się z ust te słowa. — „Jak wspaniale!”. Tego dnia przeszliśmy jakieś dwadzieścia kilometrów. Wróciliśmy do hotelu szczęśliwi, choć obolali. Raul radził napełnić wannę ciepłą wodą i zanurzyć się w niej dla odprężenia mięśni. Zdziwiona widziałam, że Raul skonsumował całą paczkę czekolady.

Nazajutrz dotarliśmy spacerem do norweskiej granicy. Nie Raul, lecz ktoś z turystów powiedział ot tak sobie:

„To tutaj, tędy przemycili Norwedzy w 1943 swoich wszystkich Żydów, w ciągu jednej nocy uratowali ich...”

Nikt nie zareagował. Ludzie tutaj nie lubią, jak się im przypomina. Niektórzy twierdzą, że za często się te fakty wspomina i że wiele jest w tych opowiadaniach przesady.

„Czy Ty wiesz, Jeanette, że jeden z naszych wspólnych krewnych tu właśnie został uratowany? Twój i moi Rodzice nie mieli takiego szczęścia... Ale i Ty nie lubisz do tych spraw wracać. Przyrzekłam Ci, że będę pisać o czymś innym, a więc...”

Trzeciego dnia naszej wspaniałej wycieczki poznaliśmy Na- rvik. Wywarł na mnie niezapomniane wrażenie.

Wczesnym rankiem wyjechaliśmy pociągiem aż do granicy norweskiej. Z okien wagonów widzieliśmy porzucane domki Lapończyków, a także i ich samych. Potem szliśmy pieszo przez las — wspaniały, chłodny, pachnący las. Zbieraliśmy jagody, ale nie takie, jakie rosną w polskich lasach. (U nas w Izraelu są lasy, (ale w ich skromnym cieniu nie rosną żadne jagody.) Te leśne owoce na Północy podobne są do poziomek, lecz inne; pomarańczowe, kwaśnosłodkie, znane Lapończykom i Eskimosom. Bardzo nam smakowały.

Byłam szczęśliwa i skakałam jak sarna po lesie od drzewa do drzewa, po ich ogromnych rozgałęzionych korzeniach, których nikt nigdy nie wyrwał i nikt nigdy nie przesadzał. Na pewno dlatego wyrosły na nich te piękne, wysokie i dumne drzewa.

Po dwóch godzinach łożenia, doszliśmy do fiordu, który szeroko rozpostarł się przed nami. Na jego brzegu czekała na nas motorówka. Zmęczeni usiedliśmy na dnie łodzi, a ona lekko się kołysząc wypłynęła na pełne wody fiordu. Woda fiordu jest fioletowo-granatowa i odbijają się w niej góry i lasy, aż niknie wszystko i tylko bezkres wód nas otacza, aż dopływamy do zbocza góry rzucającego cień na wodę i w tym cieniu płyniemy dalej i dalej.

Aż nagle, prosto przed nami, na samym szczycie zbocza, jakby wyrosło spod ziemi — miasto!

„Narvik!” — wykrzyknął Raul, pokazując domy i ulice i samochody, pierwsze, które widzieliśmy od czasu naszego przyjazdu tutaj.

Naszą łódź zakotwiczone i wyszliśmy na brzeg.

„Dwie godziny na zwiedzanie miasta” — powiedział Raul. — „Za dwie godziny spotykamy się przy łodzi”.

Nasi towarzysze rozsypali się po mieście, większość ruszyła w poszukiwaniu lodów. Nasze oczy wyłowiły tablice z napisem w wielu językach; „Muzeum Wojny”. Zaproponowałam naszym szwedzkim przyjaciółom:

„Pójdziemy obejrzeć?”.

„Nie” — powiedzieli. — „Nie lubimy wojen”.

Czy mogłam z tego wnioskować, że w ich pojęciu my lubimy wojny?

Stoimy przed plakatami i jak magnes przyciągają nas do siebie te napisy. Postanawiamy zwiedzić muzeum.

Wchodzimy. Ze ścian i z gablotek przemawia do nas Historia II Wojny Światowej. Inaczej niż zwykliśmy o niej słyszeć i czytać, bo ze strony tych, którzy z dalekiej Ameryki wtargnęli tędy do pokonanej przez Niemców Europy. Mieli tutaj swoje własne ofiary, postawili im w tym mieście, daleko od ich domu, pomnik, to muzeum... Zrobiło ono na nas ogromne wrażenie.

Po wyjściu powiedziałam do Szwedów:

„Szkoda, że nie weszliście z nami. W tym muzeum jest kawał ważnej Historii”.

„Nie obchodzi to nas” — powiedzieli obojętnie. — „Lepiej niech nikt się nie miesza do nie swoich spraw..

Zrobiło mi się smutno, bardzo smutno. Przypomniałam sobie tamtą tragiczną inną planetę, gdzie, nie tak dawno temu, palono miliony niewinnych ludzi. Ta inna planeta była w samym sercu Europy. Przypomniałam sobie siebie samą rzuconą tam na stos, jak myślałam wtedy z bólem o tym, że wszyscy nas zapomnieli, że nikomu nie zależy... dlaczego, myślałam wtedy, dlaczego wszyscy milczą, nikt nie przychodzi nam z pomocą...?

„Nie obchodzi nas. Niech nikt się nie miesza do nie swoich spraw” — powtórzył mój Szwed.

„...Jakże miałam mu wytłumaczyć, Jeanette? To tak jak ci pacyfiści, pomyślałam. Demonstrują przeciw wojnom. Wolno gwałcić prawo i wolność, ale nie wolno tego gwałtu zwalczać... Jestem niepoprawna, Jeanette. Przrzekłam nie pisać do Ciebie o smutnych sprawach, a wciąż do nich wracam... A może nawet i Ty jesteś pacyfistką? Nie wiem, co Ty o tym wszystkim myślisz...”.

Pokochałam Narvik od pierwszego wejrzenia, za jego piękno i za wszystko, co tutaj się działo.

Dwie godziny w Narviku upłynęły szybko.

Znowu płyniemy przepięknym fiordem i maszerujemy pachnącym, chłodnym lasem. Zegar pokazuje noc, ale jest jasno jak za dnia. Tu, blisko bieguna, nie ma różnicy między dniem a nocą. Noce są jasne, wręcz białe.

W taką jasną, białą noc wróciliśmy z Narviku do Abisko.

Po paru dniach nadeszła chwila pożegnania. Byliśmy już zwartą grupą, a młody jasnowłosy i jasnooki Raul był naszym przyjacielem i opiekunem. Na pożegnanie powiedzieliśmy mu:

„To były piękne dni. Nie zapomnimy ich i weźmiemy ze sobą ich smak do naszego kraju”.

„To znaczy dokąd?” — pierwszy raz zainteresował się Raul naszym pochodzeniem.

„Jesteśmy z Izraela” — powiedziałam.

Spojrzał na nas, jakby nas widział teraz po raz pierwszy.

„Nigdy nie przypuszczałbym...” — powiedział zażenowany.

I jakby nie dość na tym, dorzucił, jakby na ośłodę:

„Z Waszym wyglądem nie musicie... nikt się nie domyśli.

„Co Ty na to, moja droga Jeanette? Ja nie wiedziałam wtedy, czy śmiać się czy płakać.

Czy Tobie, w Ameryce, też zdarzają się podobne spotkania, podobne sytuacje...?”

Zaprosiłam Raula do Izraela, powiedziałam mu, że i w naszym kraju są Obrońcy i Miłośnicy Natury. Organizują oni wspaniałe wycieczki... Nie wymagają wprowadzić gumowych butów, ale ko- wa tembel (płóciennej czapki — gwarowo) i wody do picia, ale wycieczki są naprawdę doskonałe.

Wydawało mi się, że Raul był trochę zaskoczony. Na pewno nic o tym nie wiedział. Na pewno wyobrażał sobie inaczej... Przysięk, że pomyśli o mojej propozycji i może trochę o naszym kraju i o naszej historii poczyta. Zostawiłam mu co miałam przy sobie po angielsku i pożegnaliśmy się przyjaźnie.

„A Ty, moja droga, mała Jeanette, kiedy Ty przyjedziesz? Bo brak nam Ciebie...”

Aaron Baranowski, Londyn – Wielka Brytania